

W majowej tonacji

W związku z corocznymi, niewątpliwie majowymi już tradycyjny charakter, „Dniami Oświaty, Książki i Prasy” można było spotkać się z kilku wypowiedziami, pragnącymi uogólnić charakter doświadczeń wy-pływających z tych imprez. Wypowiedzi te były tym istotniejsze, że pojawiły się pośród zalewu banałów i radosnych pokrząków, że znów, że z kagańcem oświaty, że z kulturą w najodleglejsze zakątki, że podnosimy, kroczyliśmy i w ogóle wszystko tak na różowo.

Jedną z takich wypowiedzi powtórzyła nie nowy zresztą okrzyk: „przez te światłociany”. Ze się przeżyły, są martwe, nie mogą się ostać jako tradycyjna, przestarzała forma krzewienia kultury wobec tak nowoczesnych form masowych, jak radio, kino i telewizja, praktycznie dostępne już niemal w każdym zakątku.

Najmocniejszy z polemistów wystąpił w szrankach przybrany w przekorną szatę obrońcy ludowych, prapolskich treści amatorskich zespołów dramatycznych, tanecznych tudzież innych. Wołał o sielskość świetlic, o zastrzyknięcie im ducha, nie bez bardzo rozsądnych zresztą koncepcji takich, jak urządzanie dla młodych modelarni, kącików majsterkowania itp.

Przeczytałem pokornie jedno i drugie, a wtedy mój buntowniczy duch podszeptał mi, że żaden z nich nie ma racji, oczywiście, w całości swoich wywodów, nie w pojedynczych szczegółach. Nie wiem bowiem, jak jest z autorami tamtych wypowiedzi, ale ze mną tak się dzieje, że uparcie paletam się ciągle po kraju, a paletając nader często zaglądam i do świetlic i do domów kultury, zarówno w miastach jak i po zagubionych wioskach.

Niewątpliwie istnieje pewien kryzys strukturalny w pracy świetlic, domów kultury, jak też w niektórych dyscyplinach ruchu amatorskiego.

Tylko jako jedną i to nie najważniejszą przyczynę tego kryzysu można wymienić poszerzenie się oddziaływania radia i kina, a zwłaszcza telewizji.

Nie widzę wcale powodów do załamania w rozpacz rąk, a tym mniej do zamykania świetlic, do kasowania domów kultury, do likwidacji ruchu amatorskiego.

Przed wszystkim kadry

Do znudzenia trzeba by sobie powtarzać pewne dosyć jasne, choć przez resortowych pracowników i mocodawców kultury ciągle nie zauważane w dostatecznym stopniu problemy.

Przykład. Tak się zdarza, że dzień po dniu mam spotkania autorskie w niewielkich miejskich domach kultury. Przekrój społeczny, liczba mieszkańców, ich rozwarstwienie

zawodowe — w zasadzie te same. Na jedno spotkanie przybywa z trudem kilkadziesiąt osób, na drugim trzeba zmieniać salę na większą, tak jest tam tłoczno. Jeszcze uwaga, poziom czytelnictwa, sprawdzałem u bibliotekarzy, mniej więcej ten sam. Skąd zatem ta różnica, gdy nie było żadnych innych przeszkód obiektywnej natury. Oto w pierwszym domu kierownikiem jest człowiek rzutki, inteligentny, dobry organizator, cieszący się przy tym sporym autorytetem. W drugim natomiast kierownikiem jest straszny pocziwina, choć do serca go przyłoż, ale o mentalności stróża nocnego, i podobnie głęboko, stróżów nie obrażając, zorientowany w sprawach kultury. Rezultat jak wyżej.

Dalej, pierwszy z prezentowanych tu, umie postępować z młodzieżą, znajduje język ze starszym społeczeństwem. I wie, jak gościć pewne słuszne zdobycze tradycji z nowoczesnymi formami upowszechniania. Zamiast zespołu tanecznego prowadzi stałe kursy tańca, gdzie obok twista ukaże uroki polki. W salce z telewizorem można wypić u niego kawę, zjeść ciastko, umówić się z dziewczyną, zagrać w szachy, przeczytać pisma, zajrzeć do słowników i w tym samym czasie dowiedzieć się o nowych książkach, o rocznicach, w pewne zaś dni tygodnia

Dni Oświaty — impreza mogąca lepiej owocować

spotkać się z zatwardziałymi zbieraczami znaczków, etykiet zapalczykanych itp.

U drugiego, pomijając, że jest ciemno i brudno, telewizor przeważnie zepsuty, zespół dramatyczny nie może od roku zakończyć prób „Cnotliwej grzeszniczki”, nic się poza tym nie dzieje.

Dla wyjaśnienia: środki finansowe, jakość lokali itp. niemal identyczne.

Wniosek zasadniczy: sprawa kadr, sprawa kadr i jeszcze raz sprawa kadr. I tu chyba od lat leży pies pogrzebany. A reszta, to w znacznym stopniu ogórkowy temat dla sztucznie rozdmuchiwanego polemiki.

Sprawa dalsza, niemniej istotna, to książka i prasa. Przyznam, że jeśli chodzi o tę drugą, to z utęsknieniem czekam nie tylko na dzień, w którym przywrócona jej zostanie przyrodzona objętość, bo tych coraz drobniejszych literek nawet ja przy swoim pono sokiłom oku nie umiem już odczytać, ale z jeszcze większą tęsknotą marzę o czasie, kiedy doskonałe doświadczenia Międzynarodowych Klubów Książki i Prasy z wielkich miast, w zmodyfikowanych oczywiście formach, przeniesiemy także do miasteczek i nawet co większych wsi. Cóż bo tu mówić o

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 82 Poznań, 5. V. 1963 Rok III

prasie, kiedy co najmniej połowy tytułów w ogóle na prowincji kupić nie można?

Koncepcja i realizacja

Z książką też nie najlepiej. Małe nakłady, mało tytułów, niedocieranie znacznej ich części do bibliotek, zwłaszcza tych od powiatu w dół poczynając. Zapisy w kolejkach po kilkanaście nazwisk do poszczególnych atrakcyjniejszych tytułów, zjawisko w tej chwili w małych miejscowościach o charakterze niemal masowym, mówi tak wiele, że nie potrzebuje dodawać już komentarza. Nieśmiało tylko wspomnę jeszcze raz o sprawie kadr. W bibliotekach jest lepiej, niż w pionie świetlicowym, ale też daleko już nie od cudów (tych, jak wiadomo, nie ma), ale od bardzo niskiej już przeciętności.

Na taki zróżnicowany klimat w najpowszechniejszych ośrodkach upowszechniania kultury trafiają kolejne, piękne w koncepcji „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. Napisa-

łem rozmyślnie to „piękne w koncepcji”, bowiem w realizacji znów zależy cała zabawa od harmonistów, czy dobrzy, czy zupełnie do luzu. Rzecz w organizacji, rzecz także, nie przerażamy się tym wyświechtanym słowem, w emocjonalnym zaangażowaniu tychże organizatorów. Można „Dni” odklepać, postawić stoisko z książkami na rynku miasteczka, niech się ekspedient wyprawy w słoneczku, albo wymarźnie, nad ulicą zawiesi transparent z pięknym i aktualnym hasłem, urządzić zabawę w straży ogniowej, nawet zaprosić naukowca albo pisarza, powiadając o tym społeczeństwo małą nieczytelną karteczką zawieszoną na drzwiach zakurzonej świetlicy. Też będzie odfajkowane.

Ale można zespolic około siebie ludzi dobrej woli, a wbrew wszystkiemu, chodzą jeszcze tacy po kraju i to po każdej wiosce, po każdym

Był okres kiedy przeciwnikom idei komunistycznych zdawało się, że zdolają je wytypować jedynie środkami policyjnego terroru i gwałtu. Potem, kiedy idee komunizmu okazały się jednak zwycięskimi nad zandarmskim caratem, liczono na zdławienie ich przy pomocy zbrojnych, zasilających kontrrewolucję interwencji, zaś w dwadzieścia lat później w drodze zbrojeckiej krucjaty hitlerizmu. Wreszcie niezawodnego panaceum, mającego uratować świat kapitalistyczny, zaczęto dopatrywać się w termojądrowej broni masowego rażenia. Wierzono wówczas, iż potworne grzyby nad Hiroszimę i Nagasaki, będą w przyszłości znaczącą zagładę jedynie komunistycznej części świata.

Nie taśmy: rozwialiśmy nadzieje na możliwość bezkarnego dokonania ludobójstwa wobec jednej trzeciej ludzkości, zabezpieczając, odpowiednio do potrzeb, obronność naszego obozu. To sukcesy radzieckiej nukleoniki i techniki rakietowej, łamiąc początkowy monopol amerykański w tych dziedzinach, odebrały nawet pozory realności koncepcjom „atomowego blitzkriegu”. Spowodowały, iż w słownictwie strategów Zachodu pojawiło się pojęcie „równowagi strachu”; że prezydent Kennedy musiał w czasie ubiegłorocznego kryzysu w rejonie Morza Karaibskiego, studiować zapalę zwolenników wkroczenia na ścieżkę wojenną, realistycznymi i dramatycznymi ostrzeżeniami: „nawet zwycięstwo miałyby w naszych ustach jedynie gorzki posmak popiołu”. To wysiłki obronne wszystkich państw Układu Warszawskiego, zrównoważyły następstwa tak groźnej dla pokoju w Europie i na całym świecie NATO-wskiej remilitaryzacji NRF.

Jednocześnie jednak przypominamy: nie doszłoby do wyścigu zbrojeń, sprawy pokoju nie byłyby zależne od „równowagi strachu”, gdyby kierownicy polityki Zachodu (zwłaszcza USA), przyjęli już pierwsze antyzbrojeniowe propozycje ZSRR z czerwca 1946 roku. Propozycje postulujące zawarcie koncesji o zakazie użycia, produkowania lub

Miedzy polami



Linoryt

Eugeniusz Rosik

miasteczku, dla smaku dołożyć nieco szczerzego serca, podsolic świetną organizacją i wtedy się okaże, że „Dni” mogą stać się zupełnie czymś innym, niemal zbiorowym świętem, a w rezultatach zaszczepić kędys bakcyli takiej choroby, która się zowie kulturą.

Twórzmy tradycję

To o terenie. W wielkich miastach odfajkowanie jest niemal ze obowiązkiem. Niedawno przeczytałem, wiele to instytucji organizuje choćby w Poznaniu te „Dni Oświaty”. Aż mi oddech zatkało, z zachwytem byłbym odśpiewał niewątpliwie jakiś hymn triumfu, gdyby nie przypomnienie, że w minionych latach podobnie bywało, a w podsumowaniu tak wielu znów powodów do spazmów zachwyty nie było. Ciągłe szwankuje koordynacja w organizacji. W tym roku próbuje ująć to wszystko w jakieś rozsądne ramy WTK, jest jakiś postęp, ale nadzwyczajności też oczekiwać nie można, wszystko to zaczęło się na zbyt późno.

Ciągle mi brak jeszcze tutaj także spontaniczności, mocniej zaangażowanego serca. Brak mi także takich społecznych, nie organizacyjnych tylko, tradycji, jakie np. mają na swych kiermaszach książkowych z udziałem autorów Warszawa i Kraków, ostatnio też Bydgoszcz. Ale tradycję żeby ustalić, trzeba przed-

tem dobrze się napracować. Reklamować, działać nawet na snobizm („jakże, to pani nie ma książki z podpisem Fiedlera?”), zachęcać, przypominać gdzie tylko można, delikatnie mówiąc, po prostu subtelnie zaganiać.

Tymczasem kiermasze zrzucą się u nas wyłącznie na „Dom Książki”. Ale gdyby tak i wydziały kultury, i związki zawodowe, i spółdzielczość i szkoły, zwłaszcza szkoły (działajmy na rodziców przez dzieci: „Mamo, ja chcę Kogut!”) zajęły się tym kiermaszem pisarskim, to i my byśmy mieli własną tradycję, kudy by było Warszawie do nas. A tak, to poznańscy pisarze uciekają stąd na warszawskie kiermasze, taka ci dola.

Zatrzymałem się na tych kiermaszach aż tyle, nie tylko dlatego, że kosztują ciała najbliższą, wiadomo, ale że chodziło mi po prostu o jakiś przykład. Można by równie dobrze przytoczyć inne.

Rzecz w tym, że bardzo wysoko sobie cenię doroczne „Dni”, uważam je za świetną, mogącą wspaniale owocować inicjatywę. I jeżeli burzę i zrzedzę, to jedynie dlatego, że bezspornie duże wyniki wydają mi się ciągle ciut-ciut za małe. Widocznie już jestem taki maksymalista.

PS. A w tej tonacji przekornej, trochę z uśmiechem i czasem przekpińką pisałem dlatego, że redaktor żądał, aby artykuł był koniecznie pogodny, taki więcej majowy...

MACIEJ OLSZEWSKI

Optymistyczny bilans

magazynowania broni atomowej, zniszczenia jej zapasów w ciągu 3 miesięcy od wejścia w życie układu, wreszcie uznania ewentualnie naruszenia tych postanowień, jako zbrodni przeciwko ludzkości. Jak wiadomo jednak kierownice koła USA, dopatrując się w tym posunięciu ZSRR dowodów jego słabości, nie chcą zrezygnować z atomowego oręża realizacją programu antykomunizmu, nie tylko uniemożliwiły przyjęcie tych propozycji radzieckich. W 1949 r. zmontowały też pod swą hegemonią NATO, zaś po złamaniu przez ZSRR dotychczasowego monopolu amerykańskiego na broń termojądrową, jeszcze bardziej spotęgowały wyścig zbrojeń. W jego to ramach — zgodnie z postulatami Johna Fostera Dullessa, iż „Na równi z bombą atomową, Niemcy z ich możliwościami stanowią ogromną siłę militarną” — przeforsowały odrodzenie militarystyki niemieckiej.

*

Trudno wyobrazić sobie rozmiary kataklizmu trzeciej wojny światowej, jeśli by miały być w niej wykorzystane efekty powojennego wyścigu zbrojeń. Warto jednak zestawie następujące fakty:

Według oficjalnej statystyki amerykańsko-brytyjskiej, od września 1939 r. do maja 1945 r. dokonano na Niemcy ogółem 4.129.079 samolotów, lotów, zrzucając łącznie 2.697.473 ton wszelkiego rodzaju bomb i uśmiercając tą drogą 635.000 ludzi; w sierpniu 1945 r. dwa samoloty amerykańskie zrzuciły na dwa miasta japońskie tylko dwie bomby, zabijając natychmiast 120.000 ludzi.

Żdziś jednak o tych bombach z Hiroszimy i Nagasaki mówi się „nominalne”. Według zaś obliczeń amerykańskich specjalistów, zrzucone na Nowy York jednej jedynej tylko spośród „nowoczesnych” bomb termojądrowych wielkiej mocy, spowodowałyby śmierć 5 milionów obywateli tego miasta, zaś 8 takich bomb

starczyłoby dla zamienienia w wydłupione pogorzelisko całego obszaru NRF.

Wojna nie powinna już być środkiem rozwiązywania spornych problemów międzynarodowych. Dlatego też m. in. w celu zapobieżenia ewentualności jej wybuchu, niezbędne jest rozbrojenie.

Chodzi zresztą nie tylko o sprawy absolutne: istnienie lub zagładę całej ludzkości. Chodzi też o uratowanie dla ludzi, dla ich dobra, tych środków i sił, które pochłaniają z roku na rok w coraz większych rozmiarach zbrojenia. W roku 1949 wydatki militarne państw NATO wyniosły 19 miliardów dolarów, w r. 1961 — 68 miliardów, w tym roku mają przekroczyć 74 miliardy dolarów. Ogółem w latach 1949—1962 państwa NATO wydały na cele wojenne 755 miliardów dolarów, co — dla porównania — stanowi połowę wartości całkowitej produkcji i usług w gospodarce światowej w roku 1962, lub czterokrotnie więcej, niż wartość wszystkich inwestycji brutto, dokonanych w świecie w r. 1962.

*

Nie przypadkowo też idee powszechnego i całkowitego rozbrojenia, wysunięte 19 września 1959 r. przez premiera Chruszczowa, zyskują coraz szersze poparcie w poszczególnych państwach i na arenie międzynarodowej. Dowodem tego — nie tylko powstanie Komitetu Osiemnastu Państw (wśród nich osmiu państw neutralistycznych) czy też — by wspomnieć tylko najświeższe wydarzenia — zające atakowana przez militarystyczne koła NRF encyklika Jana XXIII. Może w jeszcze większym stopniu fakt, że tym razem nie mogli już wystąpić jawnie przeciwko ideom powszechnego i całkowitego rozbrojenia, że musiały je (choćby formalnie) przyjąć także mocarstwa NATO. Zwłaszcza zaś Stany Zjednoczone, co znalazło wy-

Dokończenie na str. 2

JAN KAWSKI

Badania nad dziejami narodu

Socjologiczne procesy na ziemiach zachodnich

Czytamy o problematyce badań socjologicznych nad ziemiami nadodrzańskimi i nadbałtyckimi, słyszymy o konferencjach i naradach poświęconych temu zagadnieniu, dowiadujemy się o pracy zespołów badawczych, biorących na warsztat problemy socjologiczne tych regionów.

Postawmy pytanie: czy procesy społeczne dokonujące się na tych ziemiach posiadają swoją specyfikę, różnią się zasadniczo od tych, które na przestrzeni minionych 18 lat kształtowały i kształtują nadal społeczną rzeczywistość w całym naszym kraju?

Problem nr 1

Dla socjologa podstawowy problem społeczny ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich to problem kształtowania się nowej społeczności z różnych grup ludności.

Jak wykazują dane z powszechnego spisu z roku 1950, na tych terenach wyróżnić można było cztery zasadnicze grupy: osadników z tzw. ziem dawnych, którzy stanowili wówczas 48,3 proc. ogółu ludności mieszkającej na ziemiach zachodnich i północnych, repatriantów z Bugu: 27,7 proc., ludność rodzimą: 19,7 proc., reemigrantów z różnych krajów: 3,8 proc. Te wszystkie grupy łączył podstawowy fakt: przynależność narodowa. Dzieliły: różny poziom cywilizacyjny, bagaż społecznych doświadczeń i tradycji, od-

miennosć reprezentowanych wzorców kulturowych itp. Proces tworzenia nowej społeczności miał niwelować te różnice, kształtował nowe wzorce społecznego zachowania się, wytwarzać więź społeczną.

Był to problem nieobcy również i w innych regionach Polski. Ruchy migracyjne ogarnęły przecież prawie cały nasz kraj: tuż po wojnie, gdy miliony ludzi, zmuszonych przez hitlerowski okupanta do zmiany miejsca pobytu, wracało do swych dawnych siedzib i w kilka lat później, gdy wielkie procesy industrializacji i urbanizacji powodowały, że ze wsi, małych miasteczek popłynął ludzki potok do wielkich ośrodków przemysłowych.

W tym sensie proces wymieszania się ludności, proces kształtowania się więzi społecznej stał się problemem ogólnopolskim, związanym z przeobrażeniami społeczno-politycznymi i ekonomicznymi w naszym kraju.

Niezależnie jednak od tych ustaleń, istnieje niewątpliwie pewna specyfika procesów społecznych na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich.

Na czym ona polega?

W dużym skrócie można by powiedzieć, iż procesy te były tu bardziej powszechne, ogarniały w zasadzie całą ludność tych ziem; da-

Dokończenie na str. 2

Podczas każdej wycieczki za granicę wycieczkuje się, kiedy wreszcie będzie można wyjechać się z grupy i zacząć zwiedzanie na własną łapę, bez żadnego planu. Oficjalne programy wycieczek są bowiem na całym świecie podobne do siebie, jak dwie krople wody. Zawsze miejsce pierwsze zajmuje w nich zwiedzanie dawnych rezydencji dawnych królów, zawsze ogląda się miejscowe zabytki historyczne, i zawsze najwięcej biega po kościołach. Człek — nawet gdyby był zawodowym historykiem sztuki — obiecuje sobie nie wybierać się przedko do żadnego muzeum. Turyści — jeśli nawet zwykli chodzić co niedzielę na sumę — zaklina się, że więcej noga jego w kościele nie stanie.

Tak się każdy zarzeka, ale niech się tylko nadarzy znowu okazja wyjazdu, wszelkie ślubowania idą w kąt. Każdy na długo przed wyjazdem przeżywa niepokoje podróży. Najwyżej po cichu marzy, że może ta wycieczka będzie inna. Może program okaże się wyrozumiały dla indywidualnych zainteresowań. Może będzie można powiększyć się po obcych miastach po swojemu, bez ładu i składu, ale za to w sposób bardziej zbliżony do życia dzisiejszego. Bo co najbardziej skłania człowieka do jeżdżenia po świecie? No, przede wszystkim ciekawość zobaczenia, jak żyją ludzie w innych krajach, jak organizują sobie pracę i wypoczynek, słowem — jak organizują sobie życie. Wszelkie konfrontacje są pouczające. A kto nie chciałby się czegoś nowego dowiedzieć, nauczyć?

Moja wycieczka do Czechosłowacji miała bardzo obfity i naładowany program oficjalny, ale chciałem z niej uratować przed zapomnieniem przede wszystkim te epizody, które nie mieściły się w planie. Wyknięły ze spotkań i rozmów ze zwykłymi ludźmi.

Początek podróży wypadł na sobotę przed Wielkanocą. Jechaliśmy pociągiem międzynarodowym z Warszawy — przez Pragę — do Bratysławy. Po drodze pociąg rozformowano — jedne wagony szły dalej do Belgradu, inne do Budapesztu, Bukaresztu, i dalej do Sofii. Do Pragi pociąg siedl prawie pusty. Natłoczono się dopiero w Pradze. Byli w przedziale wolne miejsca, usiadło dwóch młodych chłopców i dziewczyna. Rozmowa. Okazuje się — górniczy, jadą z Zagłębia Morawskiego, do rodziny na święta. Od słowa do słowa. My po polsku, oni po czesku. I w pewnej chwili jeden z tych chłopców, jakby nie dowierzał, pyta:

Badania nad dziejami narodu

Dokończenie ze str. 1

lej, że przebieg ich miał charakter nieraz bardziej dramatyczny ze względu na swoiste konflikty, jakie zarysowały się w początkowym okresie między ludnością rodzimą a napływową. Wreszcie inne były okoliczności, w których się tu one dokonywały w porównaniu z pozostałymi regionami kraju: brak było pewnych elementów naturalnej stabilności, jaką zapewniały ośrodki miejskie na tzw. ziemiach dawnych. Prof. Stefan Nowakowski tak scharakteryzował te odrębności: „Te wszystkie procesy na ziemiach zachodnich zachodzą w silniejszym stopniu aniżeli na ziemiach Polski centralnej, przy czym wiele ubocznych skutków tych przeobrażeń występuje silniej aniżeli na innych terenach kraju. O ile nowa wieś i nowy typ stosunków narasta na terenach Polski centralnej w sposób bardziej ewolucyjny i niedostrzegalny, to tutaj, wskutek utraty przez osiedleńców dawnego środowiska społeczno-kulturalnego, dawniej hierarchii, przeobrażenia te mają ostrzejszy charakter”.

Proces kształtowania się więzi społecznej przebiega etapami, charakteryzującymi się coraz większym stopniem dojrzałości społecznej samej ludności, uświadomieniem sobie faktu, że mechanizm życia społecznego wymaga nie zamykania się we własnej grupie, lecz konieczności wychodzenia na zewnątrz, stawiania na to wszystko, co łączy zbiorowość ludzką. Te postawy weryfikowały się właśnie w konkretnych sytuacjach społecznych: w stosunkach międzysąsiedzkich, przy wspólnym warsztacie pracy, we wspólnym spędzaniu wolnego czasu itp. Poprzedzić jednak musiał ukształtowanie się takiej postawy okres akceptacji nowego środowiska, przystosowania do nowych warunków. Cały ten proces niektórzy socjologowie określają

*) „Wieś społeczna na Ziemiach Zachodnich”. „Kultura i społeczeństwo” 1966, nr 3, str. 105.

FELIKS FORNALCZYK

W domu najlepiej

— Wy mówicie po polsku?
— Po polsku.
— A ja po czesku. Czy wy mnie rozumiecie?
— Rozumiemy.
W oczach chłopca pokazuje się jakiś błysk, olśnienie, poparte nagłym ruchem ręki. I najszczerze w świecie wyznanie:

— Ja nigdy nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, że język czeski i polski są tak do siebie podobne, że można się w tych językach porozumieć.

Dalszy odcinek drogi przegadaliśmy każdy po swojemu — chłopak był zachwycony tym, że swoim ojczystym językiem może się porozumieć nie z Czechem. Okazało się — syn kompozytora, poszedł do pracy w kopalni zamiast służyć w wojsku. Zalił się, że pracuje bardzo ciężko, ale miał swoiste poczucie wolności

Z Czechosłowacji

— marzył o zdobyciu niezależności od codziennych kłopotów przez zdobycie pieniędzy, a te praca w kopalni mu gwarantuje. Chłopak lubi mieć pieniądze — i lubi wydawać pieniądze.

Zjawisko typowe czy nie typowe dla Czechosłowacji? To nawet nieważne. Istotne jest, że — jak w różnych krajach — zdarzają się tu tacy trochę nienormalni, dziwni ludzie. I że mają możliwość zaspokojenia swoich pragnień w istniejących warunkach państwa. Inna rzecz to ideał życia tego młodego chłopca. Nie sądzę, aby mógł mieć w ogóle naśladowców.

Następnego dnia wybraliśmy się zwiedzać Bratysławę. Podjechaliśmy autokarem pod wzgórze, na którym stoi mocno nadzarpnięty zębem czasu zamek królów morawsko-węgierskich. Tu stale mieszkali, tu się koronowali, tu przyjmowali posłów. Wzgórze rozległe, chodzimy, zadzieramy głowę na masywne mury, spoglądamy na dół, na wspaniałą panoramę rozłożoną nad Dunajem miasta. Gdzieś tam za tym Dunajem, we mgle, już Austria. Jak długo jednak można patrzeć na wszystko z góry — schodzimy więc krok po kroku z powrotem, do autokaru. Przewodnik wyczerpał cały repertuar swoich informacji histo-

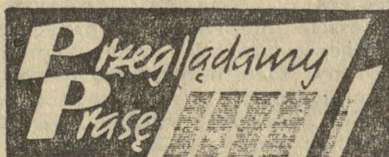
rycznych. Idzie milcząc. No to ja do niego z pytaniami. Rozmowa schodzi na zwykłe, codzienne sprawy.

Problemy aprowizacyjne przeciętnej rodziny czeskiej pochłaniają teraz znacznie większą część budżetu, niż przed rokiem. Przejechaliśmy potem Czechosłowację od krańca do krańca. Wszędzie zwracaliśmy uwagę niezwykle porządku i czystości utrzymywane zabudowania i obiekty chiopskie. Prace wiosenne w polu były już na ukończeniu. Ogromne obszary ziemi były zaorane, wysiewano krocie wapna i nawozów, tak że pola wyglądały, jakby je przykrył śnieg. Za lat kilka gospodarka ta przyniesie efekty, które zaspokoją potrzeby rynku krajowego i wymiany zagranicznej.

Rozmawiałem jeszcze z różnymi ludźmi w Brnie i Pradze. I w każdej rozmowie wracała ta sama sprawa: budżetów rodziny, kosztów utrzymania, zaopatrzenia w artykuły żywnościowe i przemysłowe. Dla przykładu — zarobki człowieka w jakiś sposób uprzywilejowanego, bo pracującego na dwóch etatach, co jest w Czechosłowacji rzadkością, wynoszą 1600 plus 1200 koron. Ale z poborów tych potrącenia podatkowe zabierają 800 koron. Przeciętne mieszkanie dwupokojowe pochłania 400 koron czynszu. Bilet tramwajowy kosztuje 60 halery. To wszystko sprawia, że przeciętna rodzina w Czechosłowacji — w kraju stojącym przecież na wyższym poziomie rozwoju przemysłowego i cywilizacyjnego niż Polska — liczy bardzo poważnie każdą koronę i stara się wydawać pieniądze racjonalnie.

A przecież mimo to są artykuły, które rozbuchają się w sklepach natychmiast. Drobną przykłąd. Pierwszego dnia po przyjeździe do Pragi zobaczyłem w jednym z magazynów miękkie, wygodne mokasyny. Nie kupiłem od razu, a następnego dnia mokasynów już w sklepie nie było. Zostały sprzedane do ostatniej pary. Podobnie przedstawia się rzecz z wieloma innymi artykułami przemysłowymi. Tanie, praktyczne i gustowne produkty idą od ręki, jak świeże bułki. W ten sposób do świadomości każdego mieszkańca Czechosłowacji docierają problemy gospodarki państwowej i zagadnienia handlu międzynarodowego.

Chcąc nie chcąc, człek zaczyna porównywać nasze problemy gospodarcze z problemami tego samego rzędu innych krajów i dochodzi do wniosku, że rachunek ekonomiczny stał się pierwszą koniecznością życiową dzisiejszego świata. Porównanie naszych kłopotów z kłopotami innych nie wypada przy tym tak zupełnie na naszą niekorzyść. Raczej przeciwnie — okazuje się w pełnym brzmieniu prawda starego powiedzenia, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Chociaż czasem wypadnie postać i podenerwować się w ogonku.



Ludzie słowa

W artykule pod takim tytułem, zamieszczonym w „Przeglądzie Kulturalnym” Tadeusz Kotarbiński zajął się problemami nurlującymi ludzi, których zajęciem jest mówienie i pisanie. Autor stwierdza, że zasadniczą potrzebą ludzi słowa jest „móc głosić prawdę”. Potrzebna jest w tym celu atmosfera dyskusyjności, bo „dyskusja ułatwia zbliżenie się do prawdy”.

Autor zwraca też uwagę na sytuację ludzi słowa. Swoją postać przedstawia na przykładzie nauczycieli:

„Jedyną wyjątkiem — pisze autor — wysunąć wszystkie potrzebne wnioski z tego niewątpliwego faktu, że ci, którzy do starczą wytwórniom najważniejszego elementu produkcji, jakim jest zdrowy, rozumny i wykwalifikowany pracownik, biorą istotny, aczkolwiek pośredni udział w produkcji. Nauczycielstwo cierpi na tym, że jest zaliczane tylko do świata kultury, a nie do świata gospodarczego, co tym groźniejsze, że pojęcie kultury zdradza tendencję do zjeżdżania w dół po linii coraz wyraźniejszej rozrywki, widowiskowości, wczasowości itp.”.

Zielone światło dla krytyki artystycznej

Jak gdyby ilustracją ogólnych tez T. Kotarbińskiego, jest artykuł Wandy Falkowskiej (również w „Przeglądzie Kulturalnym”) pt. „Zielone światło”.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Nowości

A więc znów rewelacja, nowa książka puikownika Zbigniewa Żaluckiego (wyd. MON) „Final 1945 — uwagi i polemiki”, tym razem podejmująca temat niemniej ważny, mianowicie próbę bilansu polskiego wysiłku zbrojnego lat 1944—45. Autor protestuje przeciw stanowisku „tłenu żałobnego”, ale i nie chce „rapsodu heroicznego”, dążąc do rzeczowego ukazania sensu działań polskich jednostek pod Mirosławcem, Kołobrzegiem, Siekierkami i Budziszynem, działania w ostatnim okresie wojny, okupionego ciężkimi stratami, ale stanowiącego nie tylko sukces militarny, ale również i polityczno-dziejowy.

Sporo książek ukazało się ostatnio pod egidą Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Swoistym wydarzeniem będzie z pewnością tom szkiców Juliana Przybosi „Sens poetycki”. Poznać Przybosi można dopiero przez studium właśnie tych szkiców, pełnych fermentu, namietnej wiary w funkcję poezji, walczącego zaciekle o jej kształt wyśniony przez siebie. Skoro zaś o poezji mowa, chciałbym zaanonsować i zalecić pięknie wydany tom „Liryka i satyra” Tadeusza Hollendra, świetnego pisarza, rozstrzelanego w r. 1943 przez gestapo, poety olbrzymiej odwagi, o wielkiej pasji twórczej, w którym, jak w doskonałym wstępie pisze Stefania Skwarczyńska: „widać się integralnie kpiar o wisielczym humorze ze Stańczykiem gorzko wpatrzonym w dno Historii”.

Z pokłosa konkursu międzywiedniczego otrzymaliśmy stara-

niem Wydawnictwa Literackiego dwie pozycje. „Drzewo rozi owoc” Tadeusza Hołuj, to powieść poświęcona problematyce zaangażowania ideowego, wskazanie na niemożność pozostawiania za namiem życia, doskonale napisana, bogata w swej warstwie dramatycznej. Natomiast „Kanaan” Danuty Seibor-Rylskiej, warstwą ideową ma jakby ukrytą, wyeksponowaną zostaje arcykawa studium psychologiczne uczuć młodej, dorastającej dziewczyny, w atmosferze wojny postawionej wobec faktów i uczuć dla niej dotąd nieznanych. Powieść Rylskiej zacięła warsztatem pisarskim, wciąga poprzez swą głęboką liryczną tonację.

W Krakowie także ukazał się kolejny tom spuścizny Stanisława

Z KSIĄŻKA NA TY

Wasylewskiego „Sprawy poufne”, przynoszący obrazy z kronik sądowych wieku Oświecenia, obrazy wstrząsające, zwłaszcza relację Pawła Młodanowica o rzezi w Humaniu. Ciekawość to w sumie przyzwykłe obyczajowy i nie tylko obyczajowy do wizerunku przeszłości...

Z serii „Lubuszanów” mamy dwie pozycje. Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego otrzymujemy kolejny tom antologii poświęconych literaturze ziem zachodnich, teraz konkretnie Ziemi Lubuskiej. „Odzyskane gniazda” dają wgląd w cały dorobek literacki tego regionu ukazany w rzucie historycznym. Z kolei Lubuskie Towarzystwo Kultury ogłosiło III tom „Rocznika Lubuskiego”, przynoszący cały szereg prac popularno-naukowych i krytycznych związanych tematycznie z Nadodrziem. Zwraca uwagę wielka ilość nazwisk autorów ze środowiska poznańskiego.

Optymistyczny bilans

Dokończenie ze str. 1

raz w tzw. szczegółowych zasadach rokowań w sprawie rozbrojenia z 20 września 1961 r.

Co prawda dotychczasowy przebieg podjętych w oparciu o te zasady rokowań rozbrojeniowych wykazał, że owe formalne uznanie potrzeby rozbrojenia ze strony mocarstw NATO, miało na celu stworzenie tylko zasłony dymnej dla dalszej akcji Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników przeciwko rzeczywistej powszechnemu rozbrojeniu. Ze upierając się przy kontrpropozycjach w sprawie kontroli zbrojeń, oficjalnie Zachód wciąż jeszcze dąży — co przyznaje nawet b. doradca militarny prezydenta Kennedy'ego, prof. Kissinger — do „zamrożenia” (a więc uratowania) militarnych sił antykomunizmu. Wciąż też jeszcze środki propagandowe NATO prowadzą energiczną działalność mającą

pozbawić ludzkość wiary w możliwość rozbrojenia.

A jednak minęły bezpowrotnie czasy, kiedy można było gloryfikować zbrojenia i przedstawiać propozycje rozbrojenia jako sprzeczne z interesami ludzkości; kiedy można było zwalczać działalność na rzecz rozbrojenia, na rzecz obrony pokoju, nie tylko hasłami antykomunizmu, lecz nawet neutralizmu. Dziś bowiem w walce o utrwalenie pokoju i przeciwko molochowi zbrojeń, w walce zawsze stanowiącej ważny element działalności ruchu komunistycznego i polityki państw światowego systemu socjalistycznego, uczestniczą także całe grupy społeczne, jakże częstokroć dalekie od rewolucyjnych idei naszych czerwonych sztafardów. Ten niewątpliwie sukces sił pokoju pozwala mimo wszystko na optymistyczne prognozy.

MACIEJ OLSZEWSKI

Autorka zajmuje się precedensowym procesem o zniesławienie, wytoczonym krytykowi Andrzejowi Osece przez malarza Janusza Pawła Janowskiego. Malarz poczuł się dotknięty treścią recenzji, zamieszczonej przed dwoma laty w „Przeglądzie Kulturalnym”. Sąd uznał, że Oseka pisał o wystawie w sposób dowcipny i ostry, mając na celu wyrażenie swego sprzeciwu wobec kierunków, które przyjął w malarstwie Janowski. Miał więc prawo krytycznie pisać o cechach Janowskiego jako malarza.

„Andrzej Oseka — pisze Falkowska — nie przekroczył granicy obowiązującej krytyki. Jego artykuł nie miał cech zniesławiających, choć napisany był niewątpliwie ostro. Uniewinniający wyrok sądu ma wręcz precedensowe znaczenie: zapala zielone światło dla twórczej, ostrej i uczciwej krytyki, której wciąż jeszcze brak nam tak bardzo, iż burzę w szklance wody wywołuje każdy śmielszy choćby jej przejaw”.

Jasność kryteriów

Janusz Wilhelm na łamach „Nowej Kultury” zabiera głos w dyskusji na temat kryteriów, którymi należałoby się kierować przy wyborze kandydatów do nagród literackich Ministra Kultury i Sztuki.

„Obecna polityka kulturalna partii — stwierdza — obecna sytuacja wewnętrzna w kraju oraz obecny układ sił i stosunków w skali światowej dają pisarzowi, wiążącemu swą twórczość ze sprawą socjalistycznego budownictwa, szansę tak poważną i wszechstronną, jakich nie miał dotąd nigdy chyba przez cały czas istnienia Polski Ludowej”.

Wilhelmi z uznaniem podkreśla, że w ostatnich latach pojawiły się u nas poszczególne dzieła o wysokiej arty-

stycznej randze i prawdziwie socjalistycznej treści. Jednocześnie dostrzega fakty niepokojące, którym powinno się zapobiegać. Są to: niska ilość zaangażowanych ideowo utworów; wyraźne zawężenie tematyczne naszej literatury (rzadkością są utwory, które dotyczyłyby bezpośrednio aktualnego życia naszego kraju); niemal samolikwidacja poezji jako faktu społecznego (wielu poetów, zwłaszcza młodych, zamyka się w szczelnie izolowanym świecie artystycznych wzruszeń, zrywając kontakt ze wszystkimi treściami, którymi żyje człowiek w Polsce). Wilhelm uważa, że wszystkim tym niedostatkom trudno przypisać charakter przypadkowy i przemijający. Mają one tendencję do przejścia w stan chroniczny. I to powinno najbardziej niepokoić.

Czym skorupka...

to tytuł artykułu poznańskiego publicysty Mariana Jaśkowskiego, który w „Polityce” pisze na temat powoływania szkół tworzonych w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Autor wychodzi z założenia, że decydującą rolę w procesach integracyjnych odgrywa człowiek. Dlatego też zastanawia się nad problemem — nad potrzebą, kształtowania z myślą o potrzebach rozwijającej się wspólnoty państw socjalistycznych. Autor proponuje powołanie szkół (różnego stopnia), w których uczyłyby się młodzież z różnych krajów RWFG. Umożliwiłoby to kompleksowe szkolenie fachowców dla baletu organizacyjnej naszej wspólnoty socjalistycznej oraz ułatwiłoby nauczanie języków wszystkich narodów socjalistycznych. M. Jaśkowski przypomina, że Europejska Wspólnota Gospodarcza z pozytywnym skutkiem zorganizowała szkoły dla różnorodnej społeczności dziecięcej.

LEKTOR